

utwierdzić w świadomości, w czym tkwi wielkość, w czym tkwi nicość człowieka.

Aby ci, co po ich śmierciach będą, byli swobodniejsi, wyżsi i szczęśliwsi.

KLĄTWY

Cyprian Kamil Norwid

Żaden król polski nie stał na szafocie,
A więc nam Francuz powie: buntowniki.

Żaden mnich polski nie bluźnił wszech-cnocie,
Więc nam heretyk powie: heretyki.

Żaden pług polski cudzej nie pruł ziemi,
Więc poczytani będziem jak złodzieje.

Żaden duch polski nie zerwał z swojemi,
A więc nas uczyć będą – czym są dzieje?

Ale czas idzie – Szlachty-Chrystusowej,
Sumienia-głosu i wiedzy-bezmownej;

Ale czas idzie i prości się droga...
Strach tym – co dzisiaj bać się uczą Boga.

Paryż, XII 1946²⁶⁹

Wiele razy jeździłem pociągami po Rosji Sowieckiej, nie tylko za Uralem, ale właśnie trzema kategoriami pociągów powolnych w tych 2 latach – 1941–1942. Tak że poznałem dobrze różny klimat tych trzech kategorii pociągów, które wstydliwie nie są nazywane 1–2–3 – ale miękki z plackartą²⁷⁰, miękki bez plac karty i twardy. I w twardym są jeszcze hierarchie – twardy z plac kartą i twardy bez. Nie potrzebuję mówić, że w drugiej i trzeciej bez plac karty jest już przeżycie najbardziej demokratyczne, można najwięcej usłyszeć. Miękki

²⁶⁹ Kolejne zaburzenie chronologii. Czapski tym razem wykorzystuje wolne strony dziennika do spisania brulionu rozdziału *Na nieludzkiej ziemi: Moskwa–Kujbyszew*.

²⁷⁰ Miejscówka.

z plackartą, którym jechałem dziś, to był pociąg dla „arystokracji”. Każden miał dla siebie całą kuszetkę. Sympatyczne konduktorki gotowały nawet lichą zupę, którą można było otrzymać za opłatą. To w tych wagonach „arystokratycznych”, gdzie jeżdżą najbardziej uprzywilejowane warstwy Związku Radzieckiego, słyszałem najczęściej rozmów gorąco patriotycznych, niezłomnych i wiernopoddanych. Temperatura tych ludzi była najbardziej państwowotwórcza. Jadąc takimi pociągami przez jakie 10–14 dni od Moskwy do Taszkientu z przerwą w Kujbyszewie, zetknąłem się z tą warstwą sowiecką, która najczęściej na rewolucji skorzystała i która w ogromnej większości tę władzę uważa za swoją, za zdobytą własnym trudem i własną krwią, która nie wątpiła wówczas w swojej ogromnej większości, że Stalin jest nieomylny i że poza Związkiem Radzieckim jest „rozpacz i zgrzytanie zębów”. Jest zupełnie nieściśle twierdzić, że Związek Sowiecki nie ma żadnej warstwy, w której by nie miał poparcia – poparcia płynącego nie ze strachu, ale z przekonania i nawet miłości.

Między oficerem specjalistą od czołgów a prostym żołnierzem, między urzędnikiem odpowiedzialnym przemysłu a zwyczajnym robotnikiem kołchozu – jest przestrzeń socjalna, która wbrew całej magii, frazeologii i mówieniu sobie frazesów – jest ogromna. Myślę, większa nieskończenie niż między ludźmi na podobnym szczeblu mieszkającymi w szczeblach zgniło burżuazyjnych. To ci ludzie wierzący, uprzywilejowani, których rodzice albo nawet oni sami brali jeszcze udział w rewolucji, którzy wiernie stali „przy tronie”, nie pozwalając sobie na żadne „ukłony” w prawo czy w lewo, którzy raz na zawsze poprzez wszystkie ekwilibrystyki rządu – służyli mu wiernie, ci ludzie dziś byli jego wyznawcami nadal. Nieprawdą jest również, jakoby to byli konieczni ludzie o miernych charakterach – spotkałem wśród nich szlachetnych, ale wszystkich ich łączyła jedna cecha niewątpliwa. Zupełna bezkrytyczność, gorzej – zupełna niezdolność myśleć własnym mózgiem.

Erenburg²⁷¹ opowiadał mi, jak Niemcy przy badaniach na froncie są straszliwie monotonni. Wszyscy jakoby opowiadali tymi samymi

²⁷¹ Ilja Erenburg (1891–1967), rosyjski pisarz. Czapski pisze w *Na nieлюдzkiej ziemi* (dz. cyt.) o spotkaniu z nim podczas swojej podróży do Moskwy w poszukiwaniu zaginionych oficerów polskich: „W tych samych pierwszych dniach mego pobytu w Moskwie wybrałem się również do Erenburga. Czytałem co dzień jego krótkie artykułiki propagandowo-polityczne wtedy, kiedy nawałnica niemiecka była już pod Moskwą. [...] Erenburga widziałem kiedyś przelotem w Paryżu przed wojną w kawiarniach Montparnasse'u. Poznałem go jednak dopiero w Buzułuku w początkach grudnia [1941], tzn. dwa

zdaniami, wszyscy myśleli tymi samymi formułkami. W każdym nowym zetknięciu z Rosjanami powierzchownym – miałem to samo uczucie monotonii. Trzeba było wiele cierpliwości, sympatii albo jakiejś chwili osobliwej, żeby rozmówca naraz zaczął mówić swoim głosem.

Zdaje mi się, że najbardziej uprzywilejowanym w Sowietach jest człowiek, który dojrzał do jakiegoś takiego wykształcenia, zdał jakieś wyższe egzaminy sowieckich uniwersytetów, wykuł „na ząbek” całą paletę zeszytu, ale który jeszcze nawet nic nie wie, co to jest myśleć niezależnie, którego wątpliwość w absolutną prawdę wodził nawet nie *frôler*²⁷².

Jechałem raz z Czkałowa do Kujbyszewa trzecią klasą ogrzaną i placartową. Jechaliśmy z sympatyczną starszą panią, dyrektorką fabryki czekolady w Moskwie, która jako właśnie specjalistka jeździła parokrotnie do Lwowa i tam obejmowała, upaństwowiała naszą fabrykę czekolady. Miała za sobą jakieś akty męstwa i walk rewolucyjnych w Turkiestanie wiele bardzo lat temu. Była w całym wagonie najbardziej głośna i najbardziej szczerze wiernopoddańcza i bojowa. O Lwowie, o Polakach wyrażała się taktownie, to znaczy ukrywając swoją niechęć. Opisywała tylko, jak różne panie przychodziły do Grandu i sprzedawały jej i jej znajomym swoje suknie i kapelusze. Jedyne słowo, które pamiętała po polsku, to było „przed wojną to kosztowało”. Było to dla tej pani dość zabawne, te paniusie wydawały jej się lekkomyślnymi, rechoczącymi burżujkami, od których bardzo tanio można było kupować różne dziwy, ale nie przychodziło jej widocznie na myśl, że mężowie tych kobiet może zginęli, może zesłani, może przedzierają się przez granicę w śmiertelnym niebezpieczeństwie, że w tę okrutną zimę lwowianie rąbią drzewo na skwerach, by podegrzać lodowate mieszkanie, gdzie się gnieźdzą ich głodne dzieci, że te lekkomyślne paniusie, o których

miesiące przed moim pobytem w Moskwie. Przyjechał wówczas w świecie Wyszyńskiego, gdy ten ostatni towarzyszył generałowi Sikorskiemu w podróży do sztabu Armii Polskiej. Dostyc dużo wtedy z nim rozmawiałem, przeważnie o Paryżu, o pisarzach francuskich i sztuce (Erenburg odwiedził Paryż w czasie okupacji niemieckiej). [...] Wydawał mi się szczerzy, ludzki. [...] Otóż właśnie teraz miałem prawo się spodziewać, że mi dopomoże. Ale w tym jasnym pokoju luksusowego 16-piętrowego hotelu «Moskwa» zrozumiałem natychmiast, że gdyby istotnie chciał mi pomóc, gdyby mi choć wyrazem twarzy miał okazać współczucie, ćwierczeniem dać istotną radę, nie byłby Erenburg w Rosji tym, czym jest, nie mieszkałby w hotelu «Moskwa», ale gniłby dawno w tundrach syberyjskich, w tajgach Kołymy i Komi czy na stepach Karagandy”.

²⁷² Musnąć (fr.).

z taką łaskawą pogardą mówiła sympatyczna pani, może wykazując cudów zręczności i bohaterstwa, zaczynając od upokarzających wizyt u sowieciarzy, którym sprzedają resztki swego mienia za grosze, że tym kobietom należało się może bardziej baczne i mniej klasowe spojrzenie dobrze odkarmionej, rewolucyjnej dyrektorki fabryki czekolady.

Podczas naszej jazdy nagle wdarł się bez żadnego prawa biedny żołnierz w porwanym płaszczu i z zabandażowaną ranną ręką. Ten chłopak wiejski jechał gdzieś pod Czkałow na 2-tygodniowe zalecenie rany, którą zaledwie mu podgojono w szpitalu. Miał trochę rzeczy, wszyscy moi współtowarzysze zgodnie zaczęli wyrzucać bezprawnego intruza, ale pocziwie dyrektorka czekolady wypowiedziała *speech* na cześć bohaterów z frontu.

Zażądała, by go na noc w przedziale zatrzymano. Ułożyliśmy go na górnej pryczy. Ten wynędzniały żołnierz w łachmanach zgotował nam parę niespodzianek. Z początku bardzo wyczerpany leżał i spał, potem jednak każdy dał mu coś ze swoich prowiantów i chłopak zaczął opowiadać rzeczy nie tylko dziwne, ale nawet gorszące. Pozbawiony jakiegokolwiek wychowania, wykształcenia propagandowego – opowiadał nam, jak wielu chłopów przechodzi „na tamtą stronę”, jak uciekają z końmi, z wozami, dobytkiem – do Niemców. Publiczność ubolewała nad tym zaślepieniem – uszło to jakoś opowiadającemu – ale kiedyśmy zaczęli mówić o dzikich okrucieństwach niemieckich, nasz Wołodia nagle się odezwał: „Co tam się opowiada o tych okrucieństwach niemieckich, to ja wcale nie wierzę, bo nie widziałem. Kiedy Niemcy zajęli w Wielkich Łukach (?), to umyślnie zostałem w mieście, żeby zobaczyć, co oni wyprawiają. No i nic takiego nie zrobili, byłem w mundurze i z papierami wojskowymi i nikt mi nic złego nie zrobił”.

To zdanie w ustach „rannego bohatera” wywołało konsternację; znowu dyrektorka wystąpiła. Zbesztawszy go bardzo ostro, że opowiada łgarstwa, dodała jedno zdanie: „Więc musicie badać u Niemców, czy prasa sowiecka mówi prawdę, więc od 20 lat czytając prasę sowiecką, jeszcze się nie nauczyli wierzyć jej, że mówi prawdę i zawsze prawdę?”.

W naszym przypadku miała rację fabrykantka czekolady i gazety sowieckie, nie miał racji biedny żołnierz, któremu się upiekło, że go Niemcy w taki czy inny sposób nie zgładzili, ale utkwiał mi w pamięci akcent wiary tej kobiety, która naprawdę wierzyła, że „Izwestia” i „Prawda” to... Pismo Święte.

Wołodia skulił się, ścichł, na szczęście był ranny i bardzo wynędzniały, tak że patriotyczny wagon nie wyrzucił na śnieg tego bardzo podejrzanego bohatera.

Dziś wszedłem do już pełnego wagonu wieczorem – miałem ze sobą paru towarzyszy – kapitana Ukraińca, Żyda politruka z Leningradu, wojskowego specjalistę od miotaczy ognia, wyniszczonego do ostateczności, zawożonego z Leningradu do Moskwy. Jestem przyjęty w wagonie z wyraźną nieufnością. Przechodzi dobrych parę dni, aż ta nieufność pęka, aż zaczyna działać prawo atrakcji ludzi z innych światów skazanych na wielodniowe wspólne tematy. Z tej podróży Moskwa–Taszkient zachowałem jedno z najmielszych wspomnień z Rosji Sowieckiej, bo zdobyłem nareszcie parę żywych autentycznych zetknięć – nie czułem tej ściany chińskiej dzielącej nas od tych ludzi.

W takim wagonie widzi się pozytywne cechy wojen współczesnych, tego stopu narodów. Ciepło w wagonie, beczynność, gorąca zupa i kombinowanie jakiejś paszy, jakiejś prowizji, przy czym oddalanie się od frontu – wszystko to stwarzało jakiś nastrój koleżeństwa i euforii. Nastrój wspólności, równości między jadącymi i konduktorkami, wszyscy na „ty” i wszyscy opowiadają bohaterstwo wojny domowej. Tu, w tych wagonach, widzę młodą inteligencję sowiecką, właściwie nawet nie pół-, ale ćwierćinteligencję, ludzi, którzy jeszcze nie wiedzą, że „łatwiej jest wisieć na haku, niż myśleć”, ale którzy już się czują w jakimś potężnym zespole i którzy mu służą: kwalifikowany robotnik fabryczny – kolejarz z misją specjalną jadący do *liesozagotowki*²⁷³, kapitan z frontu, młody Ukrainiec z orderem, intendent Żyd zapalony do swej pracy, inteligentny fachowiec.

Pociąg szedł dobrze całą noc – ranek – słońce, ogromne śniegi, pociąg coraz to staje. Staje koło doby pod Murmańskiem, rusza 3 kilometry, staje znowu. Numer pociągu 22, dwa pociągi z tymże numerem 22 stoją już przed nami. Zaspy? Zatory? Nie wiem.

Pociąg się zagospodarował od pierwszego ranka – miłe, brudne, rozkudłane konduktorki gotują gorącą zupę – z podziwu godną bezwzględnością, brutalnością i zadziwiającą na kobiety siłą wyrzucającą ze schodków pchającą się bezplackartową „tłuszcze”. Autorytet tych kobiet działa i nieszczęśliwi z walizkami, z wózkami zostają

²⁷³ Wyrąb lasów (ros.).

na stacji. Ja jestem dość cennym kompanem, bo mam produkty Inturista²⁷⁴.

Pierwsza moja znajomość to kapitan ukraiński – pierwszy przewycięzył podejrzliwość, jest bardzo przyjazny, uczy mnie, jak to u nich na Ukrainie robi się zastrzyk spirytusu dojrzewającemu melonowi, jak wówczas ten spirytus tam fermentuje i jaki jest smaczny tak *klierowanyj* melon.

Najmłodszy, najzręczniejszy z nas wszystkich przy tym, kapitan z orderem, najzręcniej umie od czasu do czasu coś wydostać na punktach dorywczych na stacji – to przyniesie chleba, to kaszy, którą oddajemy konduktorkom na zupełę. Po dobie zaledwie sitwa naszego przedziału jest już mocno sprzęgnięta, każdą zdobycz dzieli się po równo. Ja nie umiem nic wydobyć ze stacji, ale wniosłem bogate wiano Inturista. Ten Ukrainiec był jednym z najsympatyczniejszych filarów sowieckich, które znałem. Syn licznej chłopskiej rodziny. Opowiadał, że brat jego jest inżynierem, dwie siostry nauczycielkami, jedna lekarką.

„No i jak nie mam Stalina uważać za mojego ojca, jeżeli wszystkie moje dzieci doszły do takiego wykształcenia i stanowisk, których by nie osiągnęły za mojej młodości” – tak mówiła jego matka i tak mi to powtarzał młody kapitan. Nie było w tym miłym człowieku cienia wątpliwości, że trzeba się bić, że trzeba bronić ojczyzny – która jest jednocześnie najbardziej postępową i socjalistyczną awangardą świata.

Drugi, którego wyznawstwo było nie mniej silne, był bardzo prymitywnie, dziwnie po rosyjsku mówiący politruk z Kirgizji. Wracał ze studiów politycznych w Moskwie i przy każdej sposobności opowiadał mi, jaki to Stalin jest prorok, jak to on wszystko przewidywał. W tych oczach trochę błyszczących jak paciorki na tłustej, okrągłej twarzy – błyszczał dziecinny zachwyt i wiara.

Może jedyny naprawdę dotknięty wojną z moich towarzyszy podróży był specjalista od miotaczy ognia z Leningradu. Ten najwięcej milczał, mówił niechętnie, wynędziały, jadł ciągle z zachłannością zupełę, jadł wszystko, co tylko mógł dostać. Raz tylko go „przerwało” i zaczął mówić o Leningradzie. Że żadne bomby nie są tak straszne jak straszny jest głód, który panował tam od listopada do początku stycznia w największym nasileniu. I to mówił specjalista wezwany

²⁷⁴ Państwowa agencja turystyczna obsługująca turystów zagranicznych.

do miotaczy, wojskowy, więc jak żyli cywile – opowiadał – jak trupy ludzkie, ludzi, którzy padali, umierali z wyniszczenia na ulicach, były układane jak drwa jedne na drugich na ulicach. Przy tym twierdził, że ludność Leningradu wcale się nie zmniejszyła, ale zwiększyła podczas oblężenia, bo ewakuacja ustała już w sierpniu, wrześniu, a z wszystkich podmiejskich miejscowości ludzie płynęli do miasta.

Krąg moich znajomych coraz szerszy. Przedziały znajomią się między sobą (idzie nawet gra w karty – i tego zakazano w Rosji). Poznaje Kirgiza o ogromnej płaskiej twarzy, źle bardzo mówiącego po rosyjsku, ma niezmiernie uprzejmy, nieśmiały [...] i nagle uśmiech, z którym się do mnie zwraca, wyraźnie chciałby ze mną się jakoś zaznajomić bliżej (tu wsadzić ramkę z 7 stronicy)²⁷⁵.

Niemniej to odtajenie nieufności wobec mnie otoczenia nie idzie bez trudności. Ja, który się znajomię tak łatwo, tu jestem onieśmiewiony i „zatkany”. Po pierwsze, robi to podejrzliwość, z którą coraz się stykam. Czyż można się dziwić tej podejrzliwości.

Pamiętam, jak w polskich pismach komunistycznych wydawanych we Lwowie opisywano, jak Hucuł idący szukać chleba prosił cofającego się z frontu nędznego oficera, by mu dał kawałek chleba, a ten z paru kolegami rozciął mu brzuch, wypatroszył, wsadził tak do otwartego brzucha bochenek chleba, sam zaś poszedł dalej. Te bajki były powtarzane co dzień, co dzień w prasie sowieckiej – a znowu w latach 39–40, gdzie trzeba było dowieść, że wszyscy polscy oficerowie są łajdakami – grozili wydalaniem, jeżeli te historyjki pamiętali!

Przy tym moje zachowanie nie wzbudzało zaufania. Miałem kajety, coś pisałem, i miałem książki nierosyjskie, ale polskie, francuskie. Nawet jak pierwsze lody są przełamane, przeważnie do niczego rozmowa nie prowadzi, bo się wówczas otwierają śluzysztanc. Zdania żywcem z gazet powtarzane, straszliwa mistyfikacja.

Ale to wszystko jest jeszcze fasada propagandowa. Próba dobrać się poza ten walec, dojrzeć jakąś własną myśl, własny ład, jakieś opowiadanie „niepropagandowo” urządzone – jest niebezpieczne, bo już pachnie indywidualizmem, anarchią, pachnie kontrrewolucją.

Tu między naszymi współtowarzyszami podróży był jeden, który wydawał mi się z początku najbardziej podejrzliwy – kolejarz – ze wszystkich najcichszy i najinteligentniejszy.

²⁷⁵ Uwagi na potrzeby projektowanej książki *Na nieludzkiej ziemi* (dz. cyt.).

Ale jak to jest w Rosji – po wielu dniach boczenia się i milczenia właśnie on opowiedział mi w pewnej chwili najwięcej – i to bez tego obślizgłego, propagandowego pochodu. Jechał na jedną z linii kolejowych przy przeprowadzaniu czystki elementów niepewnych, jechał z ramienia samego Kaganowicza²⁷⁶. Był partyjnym pracownikiem od czasu rewolucji i to mu dawało pewną osłonę, pewność siebie. To on opowiadał mi sceny, które sam widział – dobijanie jeńców, nie pochwalał wcale komitetów. Cóż pan chce więc wiedzieć, jak się Niemcy nad naszymi znęcają. Kiedy się odsyła jeńców na tyły, zwykle jeńcy są wystrzeliwani po drodze. Opowiadał mi również sceny, które widział na terenach pod samą Moskwą, z których się Niemcy musieli cofnąć. Dużo zamarzniętych trupów niemieckich zostało tam jeszcze. Obok nasze dzieci oblewają te trupy wodą i używają je zamiast sanek, siadają na nie i na nich zjeżdżają z pagórków.

Niestety, nie mogę już dziś powtórzyć historii długiej, którą mi opowiedział na pożegnanie, która była dowodem największego do mnie zaufania. To jedyny człowiek, który mi mówił o okresie czystek, o tym okresie, o którym panuje przeraźliwe milczenie, jakby nie wymordowano ani zakatowano wówczas tysięcy, tysięcy ludzi, z którymi moi sympatyczni komuniści przecież przez lata razem walczyli i współpracowali.

Opowiadał mi o tragicznym losie człowieka, z którym wówczas redagował gazetę – w jednym z miast południowej Rosji jeszcze za czasów rewolucji miał on okres, gdy był po stronie białych – przeszedł jednak na stronę czerwonych – ślady swoje potrafił zacierać. Raz już, gdy odkryto jego przeszłość, przeszedł przez ciężki proces. Wyratowany wyłącznie dzięki opowiadającemu mi te historie – i jego wysokim stosunkom – zleciał z wyżyn redaktora na poziom drobnego pomocnika drukarni. W tych warunkach już się „otorbił”, ale miał nieszczęście napisać książkę wiele lat później, ekonomiczną, którą mu wydano. Dopiero po jej wydaniu odkryto w niej znamiona herezji. Jakiś ukłon na prawo czy ukłon na lewo. Książkę zniszczono, jemu wypomniano całą przeszłość i już wtedy zlikwidowano go doszczętnie. Mój rozmówca nie wiedział, co się z tym człowiekiem dzieje. Człowiek poważny, skupiony mówił mi o tych nieludzkich czystkach bez żadnej oceny moralnej, ale ciągle w nim było poczucie zagrożenia rewolucji, zewsząd konieczność

²⁷⁶ Łazar Kaganowicz (1893–1991), wysokiej rangi polityk radziecki, w latach 1930–1952 członek Biura Politycznego WKP(b), jeden z najbliższych współpracowników Stalina.

obrony. Jeżeli się czuło w nim krytykę – nie wypowiedzianą, ale istniejącą między słowami, to była krytyka pomyłek – likwidacji ludzi niesłusznie ocenionych jako kontrrewolucjoniści. Ten człowiek, który sam pewnie spowodował niejedną likwidację – zrobił na mnie wrażenie wartościowego, prawdziwego i do końca biorącego odpowiedzialność za swoje czyny, bez maskowania i frazeologii. Nie wiem, czy to wypadek, że w Rosji od zawsze kolejarze robili u mnie wrażenie klasy najbardziej rozgarniętej i przy tym czysto ludzkiej.

W tej samej podróży zetknąłem się z drugim kolejarzem; ten mnie wzruszył. Był wymizierowany. Wysyłano go z komisariatu komunalnego i parę tysięcy kolejarzy na *lesozagotowki*. Z powodu braku paliwa na kolejach wysyłano kolejarzy do lasów, by sami zorganizowali dowóz drzewa.

Świadek o zastraszającym braku rąk roboczych jakże tłumaczyło „przywileje” w wywożeniu z terenów, które miały być zajęte przez Niemców, przede wszystkim więźniów politycznych – byli oni przecie właśnie tą siłą roboczą, której Rosja zawsze potrzebuje i którą tak niesłuchanie szybko niszczy, jeżeli według świadectw ludzi, którzy wracali z obozów, do 20% przeciętnie przez zimę wymiera tylko w obozach.

W jednym zaś z obozów na Kołymie, wiem od naocznego świadka, że wyginęło procent 70. Otóż ten kolejarz leżał cały czas na pryczy, przeważnie spał. Wyglądał dość nędznie, jak człowiek wyczerpany pracą. Za każde jedzenie, którym się z nim dzieliliśmy, był serdecznie wdzięczny, może to był jedyny człowiek podczas tej długiej podróży, u którego nie miałem potrzeby przełamywać lodów, w którym nie wyczułem tej odruchowej ogólnej podejrzliwości. Był skromny, mówił jak inni sztancem, ale coraz to opowiadał rzeczy żywe, prawdziwe, o panice, która się zatrzymała w okolicach Moskwy w drugiej połowie października 1941 roku. Że były chwile wówczas, gdzie los Moskwy wisiał na włosku, palono dokumenty swoje, niszczone instalacje bezładnie, niszcząc, marnując materiał, zamiast go wywozić. I wtedy stanowisko Stalina, fakt, że został w Moskwie, jego mowa przez radio 6 XI przełamały nastrój panikarzy.

Cicho leżał na górnej półce, wdzięczny, wprost wzruszony, gdy go częstowałem moimi produktami, i jechał z Moskwy, i narzekał na głód w Moskwie również. „Nieraz gotów byłem zapłacić 50 rubli, żeby coś zjeść, ale nic nigdzie dostać nie było można” – żalił się na ten głód, że nieustannie nędzne warunki, ale skarga była potulna,

bez żalu do nikogo – winił we wszystkim tylko Niemców. Przyznał mi się, że nadzwyczaj lubi czytać, że jak ma książkę ciekawą, to oderwać się od niej nie może. Że raz czytał od 7 rano i czytał bez przerwy, aż o 11 wieczór tę książkę skończył. „Co to była za książka” – pytam. „Powieść Waltera Scotta”. Ze wzruszeniem mówił mi o Dickensie, o *Nicolasie Nickleby*.

Tu zaczytuje się w Dickensie i Walterze Scotcie zapewne w dobrym tłumaczeniu i z dobrymi ilustracjami. Kolejarz wierzył i kochał władzę sowiecką, uznał ją za swoją władzę – „coś wymyślali Niemcy, że oni są lepsi od wszystkich narodów, a nam wbijali do głowy 20 lat (*dołbili wsje 20 liet*), że wszystkie narody są dobre i równe, wszystko jedno Kirgiz czy Rosjanin, czy Uzbek, i to dało swoje owoce”. Na tym szczeblu uprzywilejowanych urzędników partyjnych kolejarzy czułem równocześnie zapal w pracy, ideowość, wiarę w Stalina. Dojeżdżając do Kujbyszewa, nie było już śladu dawnej nieufności. Żegnaliśmy się jak starzy przyjaciele.

Było przede wszystkim ciepło, nie byliśmy głodni, trochę nas oblażyły wszy, to była jedyna niewygoda, zresztą pomniejsza dla każdego z nas, który miał za sobą długą i obfitą praktykę wszy w ilościach niewspółmiernie większych.

Dojechaliśmy do Kujbyszewa w okropny mróz. Jakieś wojskowe auto pomogło mi dowieźć moje pakunki do ambasady. Była już noc. Kot²⁷⁷ siedział sam w salonie, układając ogromny pasjans. Przywiozłem mu jego rozprawy francuskie. Opowiadałem o moich niepowodzeniach. Nie dziwił się. „Przecie Panu mówiłem, że nic Pan nie osiągnie”.

W Kujbyszewie utknąłem wówczas parę tygodni. Trzeba było wyczyścić spisy poszukiwanych, w które wkradły się błędy. Nazwiska powtarzane z pamięci czasami z jedną literą zmiany – czy z inną datą wzięcia do niewoli, czy innym imieniem – stwarzały szereg nieporozumień. Przy tym już poza tą listą, którąśmy ustalili w Buzułuku, były listy i listy zbierane, spisywane w Kujbyszewie. Trzeba było spisy podane przekontrolować, wziąć nowe spisy do Jangi-Julu, dokąd razem ze sztabem została przewieziona nasza kartoteka.

Zamieszkałem wówczas w czymś w rodzaju hotelu dla przejezdnych, gdzie mieszkało nas z 10 w jednym pokoju. Paru urzędników ambasady, paru przejezdnych. Wśród nich był jeden poeta. Był nim

²⁷⁷ Ambasador Stanisław Kot.

Broniewski²⁷⁸. Cały dzień tkwiłem w ambasadzie, porządkując ludzi i spisy. – Na noc szliśmy do naszego hoteliku. Najpóźniej wracał Broniewski, zapalony brydżysta. Już zwykle spaliśmy, kiedy on zapalał nam nad głowami nas wszystkich świecącą bez klosza żarówkę i dopóty hałasował, aż nas wszystkich mniej lub więcej wściekłych pobudził. Wtedy zaczynał deklamować wiersze. Deklamował swoje wiersze: *Ulica Miła* i *Bakunina*, i wszystkie ostatnie, deklamował Słowackiego, Norwida i robił to tak świetnie, przesypując wiersze dowcipami, uwagami, że wszyscy najbardziej zaspani słuchaliśmy jak urzeczeni. Pamiętam, jak się to raz przeciągnęło do 4 godziny.

Wracam jednego dnia do hoteliku – jest jeszcze pusty, paru grzecznych lokatorów grzecznie śpi po łózkach, a na samym środku – bo już przy ścianach miejsca nie było – leży człowiek o twarzy Jezusika z figur przydrożnych. Mała wynędzniała kościana twarzyczka z bródką. Leży pod samą lampą elektryczną wiszącą z sufitu. Potem się dopiero dowiedziałem, że ten wymizerowany o szlacheckiej twarzy człowiek był – profesorem Kościałkowskim²⁷⁹ z Wilna, który tego dnia przybył z Sośwy za Uralem, gdzie tkwił w obozie za kręgiem polarnym. Pochował wielu swoich przyjaciół z nim razem tam zesłanych. Zgasilem zaraz światło, by mu nie świeciło w oczy, i sam zasnąłem. Nagle ostro zaświeciła żarówka ustawiona na wprost, ustawiona nad świętą twarzą „Jezusika”. Z wielkim trzaskiem wchodzi Broniewski i ze słowami najbardziej, jak się mówi po rosyjsku, siedmiopiętrowymi przekleństwami budzi nas wszystkich. Chce gadać, mówić swoje wiersze. Ledwośmy wspólnymi siłami go ułożyli, ledwo się nam udało zgasić światło i staruszka uchronić od nocy bezsennej.

Budzę się o 7½ – wstawaliśmy wszyscy zwykle koło 8 – przed łóżkiem klęczy profesor zatopiony w modlitwie, nieruchomy. O 8 już jest ubrany, wymyty – zapoznajemy się i pierwsze słowa, które nam

²⁷⁸ Władysław Broniewski (1897–1962), poeta. Na mocy układu Sikorski–Majski zwolniony z więzienia w ZSRR, wstąpił do Armii Andersa, gdzie złączyły go więzy przyjaźni z Czapskim, które przetrwały jego powrót do Polski w 1945. Na łamach „Orla Białego” Czapski ogłaszał jego wiersze, które planował także zamieścić w antologii wierszy polskich w przekładzie na rosyjski *Polskie wiersze wojenne*, dz. cyt.

²⁷⁹ Stanisław Kościałkowski (1881–1960), historyk, profesor Uniwersytetu Stefana Batoryego w Wilnie. Aresztowany przez NKWD w 1941 i wywieziony do łagru. Po zwolnieniu na mocy układu Sikorski–Majski wstąpił do Armii Andersa. Przebywając wraz z armią w Iranie, założył Towarzystwo Studiów Irańskich. Pozostał na Bliskim Wschodzie do 1950, następnie wyjechał do Anglii. Współpracował z paryską „Kulturą”.

mówi – to zapytanie, czy nie obudził nas, że ma takie już przyzwyczajenie wstawać o siódmej, że pewnie hałasem swoim mimo woli musiał któremuś z nas sen skrócić. Patrzę na twarz miłego nieznanego przekonany, że to zjadliwa ironia, chyba ironia.

Wczoraj co godzinę inny gość zapalał mu żarówkę nad oczami, a o 12 głośnie, triumfalne, hałaśliwe wejście poety – umarłego by zbudziło, ale nie widzę w jego oczach ani śladu ironii, a naprawdę serdeczną, braterską troskę o nasz sen.

I tak się otoczony gwiazdą naszych łóżek wprowadził do nas profesor. Opowiadał nam o Soświe, jak [...] założył kółko badań filologicznych, jak walczył z brutalizacją,ubożeniem polskiego języka, monotonią naszych wyzwisk. Znowu myślę, czy to szpilka w kierunku naszego poety. Ani trochę.

Ten człowiek, który wrócił z najdalszego zesłania, który wówczas nie wiedział jeszcze, czy żyje jego żona zesłana do innych obozów, ten cichy, coraz to w modlitwie pogrążony świętek oczarował nas wszystkich. Niewielu w życiu spotkałem ludzi z takim światłem wewnętrznym, niewymuszoną, naturalną dobrocią. I nie próbując nikogo reformować, nikogo zmieniać, przez samą swoją obecność spowodował, że nawet poeci i nawet pijacy przychodzili do celi po cichutku na palcach, rozbierali się na palcach, żeby nie budzić śpiącego pośrodku nas wszystkich jak niewinne dziecko profesora.

Spiesznie mi było z powrotem do armii, która w tym czasie przeniosła się do Turkiestanu.

Ruszyłem w drogę dalszą w początku marca²⁸⁰.

²⁸⁰ Koniec notatek do *Na nieludzkiej ziemi*.